

miałem uczucie, jakby mi z bark zdjęto wielki ciężar. Wprawdzie człowiek dopiero wtedy naprawdę poznaje swą bezsilność, gdy opuści bezpieczny pokład dużego statku i nagle znajdzie się w małej łodzi na oceanie. Nigdzie nie wydaje mu się śmierć bliższą; zaledwie kilka lichych desek oddziela go od niezgłębionej toni wód oceanicznych.

Na myśl o tem nawet najodważniejszego przebiega dreszcz, choćby znajdował się w tropikalnym upale. Obecnie przebyte doświadczenia nie wywoływały we mnie w tej chwili tego uczucia. Poznałem całą żałostkę oceanu i wiedziałem, że znajduję się w jego mocy. On spał w tej chwili. Czy zdołamy mu uciec, zanim się obudzi?

W płomiennej purpurze zachodziło słońce na horyzoncie. Na wschodzie rozciągał się delikatnie fioletowy cień.

— Nic nie widać! — oświadczył Jakób.

— Gdyby wiatr obrócił się więcej na północ, moglibyśmy wprost zwrócić się do Tenerify! Wtedy moglibyśmy szybko dostać się na stały ląd — rozumowałem.

Wiatr wzmógł się jeszcze, a łódź pędziła naprzód, jak gdyby była przywiązana liną do szybkiego parowca.

Purpura zachodu zaczęła blednąć; srebrny welon nocy zaczął rozciągać się po przestworzu, a promienie księżyca rzucały jasne blaski na nasz mały okrętek, rzeźbiąc go i zdobiąc, jakby kością słoniową.

Zapaliliśmy latarnię, aby oświecić kompas. Następnie przygotowaliśmy skromną wieczerzę, a spożywając ją, rozmawialiśmy urywanemi zdaniem o przejściach dnia.

Chwilami zdawało nam się, że znużonemi naszymi oczami dostrzegamy w oddali światło, zawsze jednak okazywało się, że przeczulone nasze nerwy ludzkie nas. Wreszcie zaczęliśmy drzeć.

Około piątej nad ranem zbudził mnie nagle z półsnu, w jakim byłem pogrążony, okrzyk Abrahama: — Okręt przed nami!

Ah, w niewiekiej odległości za naszym okrętem ukazały się czerwone, zielone i białe światła sygnałowe parowca pocztowego, który płynął prosto ku nam. Wyraźnie po przez ciszę nocną słychać było pracujące maszyny.

— Dawaj sygnały latarnią, Jakóbie! — wołał Abraham — inaczej przejadą po nas. Będę liczył do trzech, a wtedy wszyscy razem musimy krzyknąć: „okręt tutaj!”

Kilkakrotnie krzyczeliśmy z całej piersi, aż wreszcie sygnał zielony na statku znikł.

— Widzą nas! widzą nas!

Maszyna została wstrzymana, wielka, ciemna masa podpiłyła ku nam, a silny głos zawołał:

— Łódź ahoi! Czego chcecie?

— Jesteśmy rozbitkami — odpowiedział Abraham. — Rzućcie linę i zabierzcie nas na pokład.

W pięć minut łódź naszą ze spuszczonego żaglem przywiązano do boku okrętu. Nasza czwórka znalazła się wraz z całym naszym dobytkiem na pokładzie, maszyna ruszyła znowu, woda rozbryznięła się, a kapitan wypytywał nas obszernie o nasze przejścia.

#### Nareszcie w domu.

Rano 18 listopada, była to sobota, zatrzymał się parowiec „Mosquito” w porcie Falmouth, aby mnie i Helgę wysadzić na ląd. Parowiec płynął od zachodnio-afrykańskiego wybrzeża do Londynu, a mogliśmy byli o kilkanaście dni wcześniej znaleźć się w Anglii, gdyby nie wypadek, że „Mosquito”, który nas przyjął na pokład, zepsuł maszynę i mógł ją dopiero w Funchal naprawić.

Oba ostre przylądki wybrzeża koło Falmouth roztaczały przed nami całą swoją piękność. Mieliśmy przed oczyma perłę krajobrazów nie tylko Anglii, ale całego świata. Śnieg pokrywał już niższe wzgórza i błyszczał w promieniach jesiennego słońca. W swej niepokalanej czystości w dali majaczyły góry, wznoszące swoje szczyty coraz wyżej.

Podziękowaliśmy serdecznie kapitanowi za pomoc a następnie pożegnaliśmy się z Abrahamem i Jakóbem. Podarowałem im połowę pieniędzy, jakie znalazłem w kajucie sternika i prosiłem o zostawienie mi ich adresów. Następnie uścisnęliśmy sobie kilkakrotnie serdecznie ręce.

— Bóg niech was błogosławi! — wyjęknąłem głosem tłumionym przez wzruszenie. Przemagało mnie ono, kiedy przy rozstaniu po raz ostatni spojrzełem w oczy obu tych pocziwców. Nie widziałem ich już potem nigdy, przypuszczam jednak, że obu Dealczykom dobrze się powodzi.

Postanowiłem poczekać jeszcze przez niedzielę w Falmouth, aż otrzymam list od Mr. Trembartha, do którego natychmiast po przyjeździe napisałem, prosząc, aby matkę moją przygotował na wiadomość o mym powrocie. Obawiałem się bowiem, że niespodziewane ukazanie się moje w domu zaszkodziłoby zdrowiu matki.

Wspólnie z Helgą przeżyliśmy spokojny, szczęśliwy dzień, opromieniony świadomością naszej głębokiej wzajemnej miłości. Byłem dumny z takiej narzeczonej, która umiała być dzielną i odważną, a której bohaterstwa odwaga w chwilach niebezpieczeństwa nie umniejszała jej słodkiego dziewczęcego wdzięku.

Po nużącej monotonii morza i wyczerpującem czuwaniu na strażnicy okrętu, a potem łodzi, używaliśmy obecnie całą pierś rozkoszy cudnych widoków natury, których bogactwo mieliśmy wokół nas.

Szczęście nasze stało się już zupełnem, kiedy w poniedziałek rano nadszedł pocztą list od Mr. Trembartha. Matka moja czuła się nieźle i czekała na mnie z radością. W godzinę potem pociąg unosił nas ku Tintrenale.

Po przyjeździe udaliśmy się najpierw do Mr. Trembartha.

Kiedy schodziliśmy ze wzgórza, roztoczył się przed nami obszerny widok na całą zatokę. Mimowoli ująłem rękę Helgi. W przeźroczystym prawie, ranem powietrzu odrzynały się wyraźnie na tle obszaru morza „Bliźniaki”, a jeszcze silniej na jasnym tle występowała skała Deadlow. Białe mewy unosiły się nad tamą portową. Kurek na szczycie wieży kościelnej błyszczał purpurą wschodu, a u brzegów na dole rozbiły się fale morskie, pieniąc się i szumiąc. Życie uliczne miasteczka dochodziło do nas głuchymi odgłosami.

— Chodź, moje kochanie! — przerwałem wreszcie nasze uroczyste milczenie.

Ruszyliśmy pospiesznie w dół i zastaliśmy Mr. Trembartha w jego pracowni.

— Wielki Boże! Hugh Tregarthen! — wykrzyknął, zrywając się ze stołka — a więc naprawdę zmartwychwstałeś?!

Sciskał mnie za ręce i zasypywał wykrzyknikami radości i podziwu, tak, że nie mogłem słowa przemówić. Wreszcie zauważył także Helgę, a wtedy skorzystałem z chwilowej przerwy, jaka w potoku jego wymowy nastąpiła, aby mu ją jako moją narzeczoną przedstawić. Spojrzał na mnie bardzo niepewnym wzrokiem, jakby chcąc się upewnić, że nie żartuję. Potem wyciągnął do Helgi obie ręce, a ona podała mu swoje ze łzami w oczach, rumieniąc się przecudnie. W krótkości opowiedziałem mu nasze przejścia i prosiłem, aby towarzyszył Heldze, po-

nieważ pragnąlbym najpierw sam z moją matką się spotkać i rozmówić.

— Jeszcze jedno pytanie, zanim wyruszymy, Mr. Trembarth! — rzekłem. — Co się stało z załogą mojej łodzi ratunkowej?

— Trzech utonęło — odpowiedział. — Inni uratowali się przy pomocy swych pasów ratunkowych. Kiedy odzyskali przytomność, opowiedzieli, że biedni Duńczycy wszyscy zginęli.

Helga wzruszona złożyła ręce i wyszeptala kilka duńskich słów. W milczeniu objąłem ją i pocałowałem, poczem ruszyliśmy w drogę do mojej matki. Prawie co krok zatrzymywano mnie na ulicy i witano, wiadomość bowiem o cudownem mojem ocaleniu rozeszła się szybko po miasteczku.

Matka moja stała u okna naszego starego domu i wyglądała oczekując mego pojawienia się, drzwi otwarły się i nie znajdując słów, wzruszony znalazłem się w jej drogich objęciach. Długo trzymała mnie w uścisku w milczeniu, a tylko gorące łzy spływały na moją głowę. Potem usiedliśmy obok siebie na sofce i spojrzełem głęboko w to kochane stare oblicze, które spoglądało na mnie z pod korony białych jak śnieg włosów, utrudzone, ale obecnie pełne wewnętrznej radości. Drżącemi rękami gładziła moje włosy.

Jakby we śnie błędził mój wzrok po małym pokoiku, po naszym kominku i tych licznych a tak dobrze mi znanych przedmiotach. Nie mogłem jeszcze ciągle oswoić się z myślą, że jestem w domu. Przed czterema dniami dopiero otrzymała moja matka wiadomość, że żyję; nie spodziewała się kiedykolwiek mnie jeszcze zobaczyć.

Rozpocząłem moje obszernie opowiadanie. Zaniepokojona słuchała matka bardzo uważnie. Miałem wrażenie, że zaczyna zgadywać moją tajemnicę instynktem macierzyńskiej zazdrości. Kiedy wymieniłem imię Helgi Nilsen, uwaga jej się podwoiła. W gorących słowach przedstawiłem jej dziecięcą miłość Helgi, jej obawy, głęboki jej ból po śmierci ojca i jej szczerą pobożność. Miłość i duma zrobiły mnie wymownym; łzy współczucia ukazały się w oczach matki.

— Dlaczego nie przywiozłeś jej tutaj, Hugh? — zapytała. — Jest dobrą córką, dlatego chętnie ją pokocham.

Ucałowałem moją matkę.

— Jeszcze bardziej ją będziesz kochała, gdy ją poznasz. Zostanie ona bowiem moją żoną, matuchno. Czy chcesz biedną, opuszczoną sierotę przyjąć do swego serca?

Matka moja zawahała się, a po chwili głębokiego namysłu rzekła:

Jesteście jeszcze oboje bardzo młodzi i oboje biedni, Hugh!

Pogłaskała mnie po ręce, a wzrok jej pobiegł ku portretowi ojca.

W tej chwili zapukał do drzwi energicznie Mr. Trembarth.

Wybiegłem szybko i otworzyłem miłym gościom. Ujawszy Helgę za rękę wprowadziłem ją do pokoju. Była blada i zalekniona, wyglądała jednak bardzo ujmująco.

Badawcze spojrzenie matki ustąpiło miejsca ciepłemu, serdecznemu uśmiechowi. Podeszła do Helgi, i ucałowała ją serdecznie, mówiąc:

— Witaj w naszym domu!

Poprowadziła ją następnie do kanapy, gdzie usiadły obie, objawiając się. Kiedy po chwili wezwała mnie matka, abym usiadł obok niej z drugiej strony Mr. Trembarth, który w drzwiach oczekiwał zakończenia sprawy, skinął mi ręką i zniknął.

W kilka tygodni potem Helga Nilsen została moją żoną.